

Co rządzi teorią literatury. Rozmawiają Agata Bielik-Robson, Krzysztof Rutkowski i Danuta Ulicka

Elżbieta Kutzner: W imieniu Koła Naukowego Teorii Literatury „Parabaza” serdecznie witam państwa na panelu dyskusyjnym pod tytułem „Co rządzi teorią literatury”.

Magdalena Stańczuk: Naszymi gośćmi są pani profesor Danuta Ulicka z Zakładu Poetyki, Teorii Literatury i Metodologii Badań Literackich Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego, pani profesor Agata Bielik-Robson z Zakładu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk oraz pan profesor Krzysztof Rutkowski z Collegium Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego.

Elżbieta Kutzner: W imieniu Koła Naukowego „Parabaza” spotkanie poprowadzą Maciej Abramowski i Aleksander Kozielski. Zapraszamy do dyskusji.

Maciej Abramowski: Chcielibyśmy zacząć od pytania ogólnego, które pozwoli każdemu z panelistów przedstawić swój punkt widzenia: jak zdefiniowałoby państwo status i rolę teorii humanistycznej dzisiaj? Czy zmieniła się ona w ostatnim czasie? Jakie są warunki i ograniczenia jej uprawiania?

Danuta Ulicka: Moim zdaniem teoria w humanistyce – a w szczególności w teorii literatury – najbardziej przekonująco została zdefiniowana przez Antoine’a Comptona, którego książkę przyniosłam, żeby móc dokładnie zacytować: „Teoria nie jest metodą, techniką, kuchnią – przeciwnie – zakłada nieufność wobec wszelkich recept, uwolnienie się od nich przez refleksję. Jej zadaniem nie jest ułatwienie czegokolwiek, lecz wpajanie czujności, podejrzliwości, sceptycyzmu. Jednym słowem – krytycyzmu lub ironii. Teoria jest szkołą ironii”. Co państwo o tym sądzą?

Krzysztof Rutkowski: Nie wiem, ale zacznę od pewnego osobistego wyznania, ponieważ czuję się lekko wzruszony tym, że po tylu latach znalazłem się znowu na Wydziale Polonistyki, od którego zacząłem moją pracę na uniwersytecie, właśnie w Zakładzie Teorii Literatury, a było to bardzo dawno temu. Pracowałem tu przez kilka lat przed wyjazdem do Francji. Zastanawiałem się wówczas, czym jest teoria literatury, i próbowałem odpowiadać na to pytanie ze swoimi studentami. Muszę przyznać, że przez tych siedem lat bardzo się z tym problemem borykałem, bo nie do końca wiedziałem, „co mówię”. Dopiero po latach zdałem sobie sprawę, że rzecz jest prosta i skomplikowana jednocześnie. Pan jednak zadał pytanie nie tyle o teorię literatury, ile o teorię humanistyczną w ogóle. Właśnie odkryłem, że czegoś takiego nie ma. Tylko złote drzewo życia się liczy, więc stanąłem po stronie życia, a nie teorii. Teoria literatury oderwana od drzewa życia jest czymś zupełnie abstrakcyjnym i powiedziałbym, że nieleżącym w zakresie mojego dobrego samopoczucia. Myślę też, że problemem nie jest teoria, ale literatura, humanistyka w ogóle, co stanowi przedmiot moich zainteresowań. Kiedy zaczyna się literatura? Czym ona jest? Co to za nieszczęście, które się kiedyś pojawiło?

Od wielu lat próbuję badać właśnie drzewo życia, a przede wszystkim bardzo stare historie, momenty, w których powstało coś takiego jak literatura. Skąd się ona wzięła? W którym momencie? Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że przecież to jest tylko ślad po czymś znacznie bardziej skomplikowanym. Wszystkie teorie humanistyczne są śladem po czymś znacznie bardziej skomplikowanym, po problemie, który na własny użytek sformułowałem następująco: człowiek myśli i mówi całym ciałem, a teoria czegoś, co jest tylko pewnym śladem, jest czymś znikomym. Trzeba zastanowić się nad tym, gdzie leży źródło słownej twórczości artystycznej. Myślę również, że teorie humanistyczne, a teoria literatury w szczególności, są możliwe tylko z uwzględnieniem poczucia humoru. Pozwolę sobie w tym miejscu przytoczyć drobną przygodę związaną z moimi początkami zajmowania się teorią literatury. Kiedy byłem młody, czytałem bardzo mądre teksty, niestety na początku w przekładach.

Danuta Ulicka: Proszę państwa, tu popatrzyl na mnie (*śmiech*).

Krzysztof Rutkowski: Nie, nie, twoje przekłady z rosyjskiego są znakomite, to zupełnie inna rzecz. Ja czytałem w takich przekładach, które powodowały, że nie bardzo rozumiałem – to ma być mądre? Wielkie nazwiska, wspaniali teoretycy, ale całość strasznie nieprzekonująca. Coś tu nie grało. Dopiero kiedy zacząłem czytać w oryginale, okazało się, że na przykład tacy myśliciele, jak Claude Lévi-Strauss pisali z wielkim poczuciem humoru i przymrużeniem oka. Warunek możliwości zaistnienia jakiejś teorii, wszystko jedno jakiej, stanowi w pierwszej kolejności dystans do samego siebie i poczucie humoru. To jest w znacznym stopniu pewna gra, pewna zabawa.

Agata Bielik-Robson: Muszę przyznać, że czuję się niepewnie w tym gronie, ponieważ nie jestem teoretykiem literatury i zastanawiałam się, dlaczego właściwie Koło Naukowe „Parabaza” mnie zaprosiło. Z jednej strony bardzo się ucieszyłam, bo jest to okazja, żeby się wybrać na polonistykę i zobaczyć mnóstwo znajomych, co jest zawsze miłą rzeczą. Z drugiej strony byłam trochę przerażona, bo choć uwielbiam teorię, akurat wszyscy wiedzą, że teorią literatury się nie zajmuję, a jedyne moje wejście w ten obszar było dosyć paradoksalne, ponieważ przetłumaczyłam razem z przyjacielem Marcinem Szustrem *Lęk przed wpływem* Harolda Blooma. Między innymi po to, żeby uświadomić tak zwanym teroretykom, czyli tym, którzy uprawiają terror teorii, że wszelka teoria jest szara, a zielone czy złote jest tylko drzewo życia. Bo coś takiego w gruncie rzeczy Harold Bloom, choć sam skomplikowany teoretycznie, próbuje powiedzieć efebom zajmującym się literaturą. Stąd moja niepewność w tej dziedzinie.

Ale chciałabym powiedzieć coś więcej na temat dyskomfortu związanego z pojęciem teorii literatury, który zawsze odczuwam. Jak pan Krzysztof wybrał drzewo życia, tak ja wybrałam teorię na temat drzewa życia, bo w pewnym sensie nie robię nic innego. Moje studia nad mesjańską filozofią żydowską ciągle krążą wokół motywu drzewa życia, *ec chaim*. Nawet na ten temat można więc teoretyzować i ja tym, między innymi, się zajmuję. Natomiast jeśli chodzi o literaturę, zawsze miałam takie poczucie, że teoria jest w niej trochę nie na miejscu. Zawsze wołałam takich paradoksalnych teoretyków literatury, jak Harold Bloom, którzy właśnie z niemożliwości uprawiania teorii w literaturze

zrobili temat własnej teoretycznej refleksji. Coś podobnego wyczuwam też w tezie, którą postawiła Danuta, że jeśli uprawiać teorię, to wyłącznie ironicznie. Ja bym powiedziała nawet więcej: jeśli uprawiać teorię, to wyłącznie autodekonstrukcyjnie, to znaczy w poczuciu, że literatura jest takim przedmiotem, który zawsze teorii się wymknie, że to jest taka idiosynkrazja do kwadratu, ponieważ nie tylko tworzona jako coś z istoty swej pojedynczego, ale na dodatek jeszcze z intencją absolutnej pojedynczości. Po prostu żadna teoria nie będzie w stanie tej idiosynkrazji od początku do końca zredukować do jakiegoś wspólnego mianownika czy w ogóle do jakiegoś wzorca, bez względu na to, jak ten paradygmat pojmujemy. W teorii literatury, moim zdaniem, zawsze mamy do czynienia z redukcją i dlatego dobry teoretyk literatury musi być umyślnie umęczonym, umęczonym metodycznie.

Danuta Ulicka: Ale i wesołym jednocześnie.

Agata Bielik-Robson: No właśnie nie. Uważam, że ta ironia jest raczej męką, dlatego że to jest w gruncie rzeczy samozjadający się węże. To dziedzina, której w zasadzie nie powinno być, i refleksja nad niemożliwością teorii literatury powinna stanowić samo jej sedno. Wszelka krytyka, wszelka teoria literatury jest redukcją, a ta z kolei stanowi negację literatury. Oczywiście to brzmi strasznie prosto, ale wydaje mi się, że warto rozpocząć właśnie od takiego mocnego uderzenia, którym w dwóch krokach wykazuje się niemożliwość tej dziedziny.

Danuta Ulicka: Ja z kolei czuję się w obowiązku bronić teorii, co już kiedyś obszernie zrobiłam. Zacznę od pytania o to, czy każda literatura jest idiosynkratyczna. Wątpię. Po pierwsze, istnieje kilkanaście, kilkadziesiąt utworów, które są absolutnie idiomatyczne i cała masa literatury teoretyzowalnej, co więcej, domagająca się steoretyzowania. Po drugie, przeciwstawienie literatury i teorii jest dla mnie historycznie nieprawdziwe. To przeciwstawienie zaistniało w samej teorii i w literaturze w pierwszej dekadzie XX wieku i trwało dziesięć, najwyżej piętnaście lat. Co więcej, ci, którzy przeciwstawiali teorię literaturze i stawiali teorię na pierwszym miejscu, dowodząc, że literatura jest jej służebnicą, sami uprawiali literaturę. Jedną ręką pisali teorię, drugą – literaturę, trzecią – coś, co nazwałam niezręcznie literaturą literaturoznawczą, bo to ni pies, ni wydra – nie ma ona żadnej kwalifikacji gatunkowej i najchętniej określiłabym ją jako hybrydyczno-pograniczną. I jeszcze dwa kamyczki. Krzysztofie, tym początkiem literatury, jej pochodzeniem i najgłębszymi źródłami, zajmowali się przede wszystkim teoretycy. Z moich ulubionych – Awierincew, ale i Olga Michajłowna Freudenberg z jej mitopoetyką i wyprowadzaniem literatury z najbardziej archaicznych, rytualnych, utrwalonych w mitach źródeł. Pod wpływem m.in. jej koncepcji powstał międzynarodowy periodyk teoretyczny „Arbor Mundi/Mirowoje driewo/The World Tree”, w którym poczesne miejsce zajmuje refleksja nad owymi mitopoetyckimi korzeniami literatury.

Samo pojęcie teorii jest pojęciem historycznym i wieszanie na niej psów opiera się na dość krótkowzrocznym rozumieniu tego terminu, to znaczy sprowadzaniu go mniej więcej do takiego zakresu, jaki miało przez trzydzieści lat u szczytu modernistycznej teorii. Ta podobno umarła – i całe szczęście.

Krzysztof Rutkowski: Ależ naturalnie. Wieszanie psów w ogóle nie jest przyjemną rzeczą, a na teorii w szczególności. Znakomicie zresztą, że przywołałaś Olę Freudenberg i Awierincewa, obydwójce są moimi ulubionymi autorami. Oni właśnie zastanawiali się nad takimi prostymi rzeczami, jak pytanie, skąd owa czynność się w ogóle wzięła. Zagadnienie to trapiło wielu mądrych ludzi, między innymi Hegla. W pierwszym tomie *Fenomenologii ducha* jest opis prostego doświadczenia, które dotyczy każdego, kto zajmuje się słowną twórczością artystyczną, by posłużyć się słynnym sformułowaniem Bachtinowskim.

Danuta Ulicka: Nie, moim! Bachtin to mówił trochę inaczej.

Krzysztof Rutkowski: No dobrze, twoim. Jeszcze lepiej, zawsze można to skonfrontować na miejscu. Wróćmy do prostej przygody opisywanej przez Hegla: w piękny majowy poranek dwóch panów idzie ścieżką przez las. Rozmawiają, załóżmy, o literaturze. Nagle przez ścieżkę przebiegła sarenka. Rodzi to problem teoretyczny – oto dwóch dżentelmenów, obaj wykształceni, jeden widział, drugi nie widział, bo myślał na temat różnych sądów syntetycznych *a priori*. Ale to nie był Kant, bo on pewnie chodził innymi drogami, nie przez leśne ścieżki. Ten, który widział sarenkę, ma dwa rozwiązania. Może zareagować natychmiast, złapać towarzysza za rękę i krzyknąć: „Zobacz! Sarenka!”. Jest też inne rozwiązanie i z niego właśnie bierze się literatura. Może powiedzieć: „Słuchaj, Hans, wiesz, przed chwilą przez ścieżkę przebiegła sarenka. Sarenka należy do takiego i takiego rzędu, do takiego i takiego gatunku. Charakteryzowała się tym, że miała taki ogonek i takie uszka, i sierść taką i taką” – zaczyna opisywać sarenkę, która przebiegła. Hegel zastanawiał się, jakie jest napięcie, różnica między tym krzykiem nieskładnym, lecz bliższym rzeczy, bliższym sarenki, która przebiegła, a literaturą, która zaczyna się wtedy, kiedy powstaje opis. Cały dramat polega na tym, jak dotrzeć słowem do rzeczy i jak zbudować najcelniejszą wypowiedź. To stanowi wielki problem teoretyczny dotyczący kwestii, o których rozmawiamy. Mówiliśmy o drzewie życia, o różnych teoriach. Po co istnieje literatura, jaki jest jej cel, jak sprostać wydarzeniu, bo w pewnym sensie przecież literatura zajmuje się opisywaniem wydarzeń.

Agata Bielik-Robson: Jak dla mnie – zupełnie nie.

Krzysztof Rutkowski: Zajmuje się tym, co się stało i co trzeba w jakiś sposób uchwycić. Jak to opisać? Zrobimy to albo po Białoszewskiemu, albo po Orzeszkowemu, i to jest sprawa wyboru.

Agata Bielik-Robson: Skoro już jesteśmy przy tym Heglu, to rzeczywiście, dopiero tutaj widać terror teorii, wręcz paradygmataczny. Muszę powiedzieć, że z Heglem jest większy problem, bo on sobie uświadomił – i tego dotyczy cała pierwsza część *Fenomenologii ducha* – że nie sposób w języku, składającym się z samych ogólnych pojęć, odtworzyć jakiegokolwiek konkretnego. Romantyczne złudzenie literatury polega na nostalgicznym trzymaniu się świata zmysłów, który musi odejść do lamusa albo – jak potem powie Maurice Blanchot – odejść do Hadesu, żeby mógł powstać język obracający się wyłącznie w świecie swoich własnych pojęć. Hegel wręcz mówi, że tylko i wyłącznie porzucenie nostalgii za utraconym konkretem umożliwia nam pracę w języku. Oczywiście

znajdzie to potem swój wyraz w teorii literatury, najpierw u Blanchota, który powie, że cała literatura jest przestrzenią pośmiertną po śmierci świata zmysłowego, z którym trzeba się po prostu pożegnać, którego się nie da odtworzyć w opisie. No i potem Paul de Man, który wyrasta wprost z Hegla i demaskuje fikcję fikcji, mówiąc, że polega ona na utrzymywaniu nas w przeświadczeniu, jakoby istniał jakiś kontrakt między językiem literackim a rzeczywistością, choć w istocie nie ma żadnego. Proszę, grupa nazywa się „Parabaza”, więc jak rozumiem z de Manem ma wiele wspólnego (*śmiech*). Parabaza de Manowska w dużej mierze polega na tym, że autor (o ile jest oczywiście dobrym autorem, a nie jakimś twórcą pseudorealistycznego kiczu) robi właśnie takie nieustanne parabazy, czyli na stronie puszcza oko do czytelnika, informując go o tym, że wszystko to oczywiście zupełna nieprawda. To znaczy, że nie ma wydarzeń, do których język się odnosi, jest on całkowicie autotematyczny. Tutaj pojawia się kłopot z literaturą, może teoria (teoria samego języka, właściwie dopiero potem stosowana do teorii literatury) służy do tego właśnie, żeby pokazać, jak dziwną formę stanowi literatura składająca się z ogromnej ilości fikcji, którą możemy albo podtrzymywać na zasadzie wiary, albo dekonstruować, jak robi to Blanchot, de Man, albo jak wcześniej zrobił to Hegel. Na swój sposób robi to też Bloom, mówiąc o absolutnej autotematyczności dzieła literackiego. Jest to też pytanie dla teoretyka literatury.

Danuta Ulicka: Oczywiście, ale także dla twórcy literatury.

Agata Bielik-Robson: Chciałam jeszcze powiedzieć dwa słowa o Oldze Freudenberg, a właściwie o tym, dlaczego jej tak bardzo nie lubię. I dlaczego nie przepadam właśnie za szkołą rosyjską, strukturalizmem i tymi wszelkimi ujęciami, które na różne sposoby (takie odczarowane i bardziej zaczarowane, jak w przypadku Freudenberg) usiłują wywodzić literaturę prosto z mitu, zakorzenień sztukę literacką w jakichś najstarszych, archaicznych, uniwersalnych formułach narracyjnych, jak na przykład mit.

Danuta Ulicka: Może nie z mitu, lecz z przedjęzykowego etapu rozwoju. To jest taka antropologia literatury i rozumiem, że możesz nie lubić tego ujęcia.

Agata Bielik-Robson: No właśnie, antropologia literatury, która chce zbudować całościowy obraz, w gruncie rzeczy niehistoryczny i niezmienny obraz człowieka, którego życie wprost, bez konieczności żadnego zerwania, wypowiada się najpierw w strukturach mitu, by potem, na zasadzie pewnych komplikacji, wyłoniła się z niego literatura. W takiej ciągłości jednolitego obrazu nie ma miejsca na idiosynkrazję. Tutaj dochodzi do całkowitej redukcji tego wymiaru oraz pozbycia się ambicji twórcy do bycia sobą i tylko sobą. Jest to problematyczne, ale literatura, zwłaszcza modernistyczna, jest na pewno tworzona z tym zamysłem, a jeśli gdzieś dochodzi do kompletnego pozbycia się tej aspiracji, to właśnie w tych wszystkich teoriach. One są dla mnie uosobieniem terroru teorii, w którym wymiar uniwersalny całkowicie pochłania wszelką ambicję jednostkowości.

Danuta Ulicka: Nie wiem, czy wymiar antropologiczny jest wymiarem uniwersalnym, który tak jak „terror teorii” (pojęcie wprowadzone przez Girarda) sprowadza się do tego, co ogólne. Przytaczasz Blooma, który nie redukuje do tego, co uniwersalne, ale ja chciałabym wrócić jeszcze do poprzedniego wątku. Żeby nie polaryzować mocniej

waszch stanowisk, tego broniącego referencji i tego mówiącego o utopii referencyjności, spróbuję zarysować trzecie. Podejmuje je zarówno teoria, jak i literatura, na przykład u Szymborskiej, która stara się – żeby było o sarnie – sprobematyzować niemożność napisania i zapytać, dokąd biegnie ta sarna przez nienapisany las. I to jest brak różnicy między teorią i literaturą. Pytanie Szymborskiej jest pytaniem heglowskim, jest pytaniem arystotelesowskim i jest naszym pytaniem. Zupełnie nie rozumiem, czemu w listach lektur z teorii literatury musimy trzymać się kanonu, jaki przeczytamy w każdej światowej antologii. Musiałam w ostatnim czasie przejrzeć około 60 takich antologii i zestaw nazwisk kanonicznych jest zastanawiający. Wszędzie taki sam. Czy to będzie student polski, czy afrykański, czy chiński, jest on uczony tego samego i w związku z tym ma jakieś dziwne wyobrażenie o teorii, które zostało mu narzucone przez instytucję uniwersytetu, akademii, która pochłonęła teorię. Teoria tam „skościelniata”, że tak powiem po norwidowsku. I teraz przeciwstawiamy teorii drzewo życia czy jakąś tam biegnącą sarnę.

Aleksander Kozielski: Właśnie tutaj pojawia się pytanie o wzajemne uwikłanie teorii i praktyki. Czy teoria literatury może się zinstytucjonalizować, czy musi pozostać jednostkowa? Ale też z drugiej strony – czy istnieje praktyka, czy istnieje to złote drzewo życia, które nie jest uwikłane w teorię?

Danuta Ulicka: Oczywiście, że nie istnieje. Sama teoria jest drzewem życia, tak samo jak literatura jest drzewem życia. Jeszcze raz będę przeciwstawiać się przeciwstawianiu.

Agata Bielik-Robson: Ale tu nie chodzi o to, żeby budować takie proste przeciwstawienia. Na początku chciałam tylko powiedzieć, że jesteśmy w aporetycznej sytuacji, ale nie ma w tym nic złego – aporie są dobre, ponieważ ożywiają krytyczne myślenie. Nie chodzi o to, żeby budować absolutne przeciwstawienie literatury i teorii, natomiast wydaje mi się, że każdy teoretyk literatury powinien mieć w głowie zastrzeżenia, które go w jakiś sposób uczulają na specyfikę materii, z którą ma do czynienia. Jeśli przestaje być na nią wyczulony, to właśnie wtedy staje się terroretikiem, by raz jeszcze użyć tego wyrażenia – takim mistrzem redukcji, który będzie dostrzegał wyłącznie to, co mu modna teoria do głowy przyniesie. Czy to będą reakcje na siły postkolonialne, czy kwestie genderowe, czy znowu kwestia periodyzacyjna. Są na przykład takie teorie, które zajmują się tylko tym, czy Baudelaire jest modernistą, czy romantykiem, tak, jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Może i jest, pewien fetyszizm periodyzacyjny w teorii literatury zawsze mnie potwornie śmieszył. No i co z tego? Ważne, żeby teoria nie była uprawiana w sposób tryumfalny. Teoria literatury nie jest tym samym, co teoretyczna fizyka. Fizykę można uprawiać na sposób tryumfalistyczny, tam rzeczywiście zwycięża pojęcie jako coś absolutnie ogólnego, ponieważ materia się tego rodzaju teorii nie przeciwstawia (gdyż przeciwstawia się w sposób znów weryfikowalny na sposób ogólny). Natomiast teoria literatury nie może tak działać. Należy zbudować kodeks pewnych przestróg, zastrzeżeń, przypomnień. Jeszcze raz jednak zwrócę na coś uwagę – powiedziałś, że nie każda literatura jest idiosynkratyczna, nie każda jest idiomatyczna. Ja bym powiedziała więcej – jeśli nie jest, to jest po prostu złą literaturą.

Danuta Ulicka: Podobnie jest z teorią, jeśli powieła mody, to nie warto się nią zajmować. Ty definiujesz dobrą literaturę, ja bronię dobrej teorii.

Agata Bielik-Robson: W pewnym sensie nie ma między nami sporu, jeśli znowu przywołamy Harolda Blooma, który twierdzi wprost, że jego teoria wpływu poetyckiego jest też swego rodzaju poematem. On nie tylko pisze o wierszach, on też pisze poemat. Jeżeli uważasz, że teoretyczne elementy są w każdej twórczości (a na pewno w twórczości modernistycznej tak jest) i nie mamy bezrefleksyjnych twórców naiwnych, to możemy również zaakceptować ten poetycki, idiosynkratyczny moment w samej teorii.

Danuta Ulicka: Wydawało mi się, że o tym właśnie mówię. Empedokles pisał poematy jako swoje pierwsze traktaty filozoficzne, Jakobson też pisał wiersze i zdaje mi się, że znam tylko jedną wielką teoretyczkę, która wyznała, iż nigdy w życiu nie napisała żadnego wiersza. Była nią profesor Maria Renata Mayenowa. Twórczość literacka teoretyków jest rozbudowana i fantastyczna, to jest ta formacja modernistyczna, w której rozdzielenie teorii od literatury okazuje się właściwie niemożliwe.

Krzysztof Rutkowski: Masz całkowiłą rację, tylko mnie dręczy jeszcze coś innego. Mam wrażenie – wynikające z mojego doświadczenia i zmagania z pytaniem o to, co jest literaturą – że teoria literatury, podobnie jak literatura, jest czymś cząstkowym wobec bardziej ogólnego namysłu nad tym, jak człowiek zachowuje się w świecie, jak mówi, po co mu słowo, skąd się wzięło i co się z nim robi. Niedawno George Steiner, filozof, którego szalenie cenię, opublikował książkę pod tytułem *Poezja myśli*. Utrzymuje w niej, że w każdym, nawet najbardziej wyrafinowanym tekście – czy to teoretycznym, czy literackim – tkwi pewna poezja, którą da się zidentyfikować, da się opisać. Jest to rodzaj sztuki i umiejętność jej odczytania niesie ważne konsekwencje dla zrozumienia tekstu i pewnych doświadczeń życiowych, egzystencjalnych związanych z myśleniem. Steiner między innymi zastanawiał się nad fragmentami z Heraklita, nad takim oto paradoksem, że przecież fragmenty z Heraklita wcale fragmentami nie są. Przyjęło się, że mamy do czynienia z fragmentami, lecz nie jest tak, jakoby istniała jakaś zaginiona całość. Poetyka Heraklita opiera się na fragmentaryczności, tak zbudowane jest całe jego dzieło. Steiner analizuje między innymi, na czym polega poezja myśli tego filozofa i tworzy w ten sposób pewną teorię literatury dotyczącą fragmentów Heraklitejskich. Oczywiście w książce Steinera znajdziemy bardzo dużo innych przykładów, poczynając od najstarszych elementów, takich jak Heraklit, kończąc na poezji i prozie dwudziestowiecznej. Ale zmierzam do tego, że istnieje tak wiele szkół, tak wiele pomysłów dotyczących teorii literatury, które wtedy tylko są interesujące, kiedy jednocześnie są wielkimi filozofiami. Wszelka teoria literatury godna tego miana, warta studiowania, zasługująca na namysł, wiąże się z pewną filozofią natury ogólniejszej, jest rozważaniem o tym, co stanowi istotę mowy, istotę mówienia. Przeanalizujemy fragment z Heraklita, który składa się z trzech tylko cząstek: „*Ethos*”, „*Antrophos*”, „*Daimon*”. Cóż to znaczy: „*Ethos*” – wydawałoby się, że to oczywiste, że *ethos* to jest coś etycznego. Tymczasem po dokonaniu głębszej analizy okazuje się, że to słowo oznacza „bycie u siebie”. „*Antrophos*” to po prostu człowiek, problem pojawia się przy słowie „*daimon*”, bo przez wiele stuleci tłumaczono ten argument na różne

sposoby: że etos człowieka jest demoniczny albo że etos człowieka jest demonem i tym podobne. Tymczasem „daimon” znaczy rozdzielać. I teraz okazuje się, że im bardziej zagłębimy się w język, to ten krótki fragment z Heraklita, który jest całością „*Ethos, Antrophos, Daimon*”, mówi, że bycie człowieka jest rozdarte, że bycie człowieka u siebie jest rozdarte, więc ziemia stanowi tylko etap w naszej długiej podróży, a rozdarcie wymaga od nas mówienia. Po prostu jesteśmy skazani na mówienie w pewien sposób. To, w jaki sposób mówimy, układa się w różne ciągi, między innymi w ciągi literackie.

Danuta Ulicka: Z przyjemnością usłyszałam o Steinerze i *Poezji myśli*, albowiem jeden z najcenniejszych tekstów teoretycznoliterackich Romana Jakobsona ma bardzo podobny tytuł *Poezja gramatyki, gramatyka poezji*. On tym bardziej nie przeciwstawia i nie wyklucza nie tylko poetyckości językoznawstwa, ale i gramatyczności poezji. Myśl Jakobsona podjął Walter Gibson w rozprawie pod tytułem *Poetics of mind – Poetyka umysłu* i pewnie to by było Krzysztofowi najbliższe. A pytanie, na które chętnie bym usłyszała odpowiedź od Krzysztofa, brzmi: Skąd Steiner wie, że te fragmenty nie były całością? Jeśli chodzi o Niemców, to wiem, że były to zamierzone fragmenty, natomiast w przypadku Heraklita zazdroścę mu optymizmu i przekonania, że istnieją tylko fragmenty i że nigdy nie odnajdziemy całości. To są piękne, wielkie teorie, wyniesione chyba ze szkoły jenańskiej, narzucone na starożytnych, ponieważ wywiedzenie czegoś z historii, powołanie się na autorytet rodowodu historycznego zawsze dobrze robi.

Agata Bielik-Robson: Akurat o Heraklicie nie mam wiele do powiedzenia. Cieszy mnie to, co powiedział właśnie pan Krzysztof, że byłoby dobrze, gdyby teoria literatury zbliżyła się do filozofii. Oczywiście filozofii pojmowanej w najbardziej idealistyczny sposób. Rzadko kto w świecie akademickim rozumie teraz filozofię jako fundamentalny namysł nad dziwnym miejscem człowieka we wszechświecie i koniecznością mowy, która wynika ze źródłowej negatywności, czyli niedopasowania człowieka do świata, w którym żyje. Mowa jest albo próbą wyrównania tej nierówności, czyli stworzenia czegoś w rodzaju adaptacji, albo wręcz przeciwnie – próbą podkreślenia tej nierówności, stworzenia dla człowieka innej niszy, którą wytwarza język, otaczając go czymś w rodzaju kokonu drugiego świata. Istnieją różne możliwości i rzeczywiście można iść tym tropem, jak czyni to wielu myślicieli współczesnych, między innymi Giorgio Agamben, który w wyjątkowo udany sposób łączy wątki literackie, teoretycznoliterackie, filozoficzne, historyczne, a nawet językoznawcze, nie mówiąc już o teologicznych. Wszystko to tworzy bardzo idiosynkratyczny, teoretyczny amalgamat. Jednak Agamben jest filozofem, a nie teoretykiem literatury. Teorie literatury, które ja znam, których doświadczam (bo mam głównie do czynienia ze studentami różnego rodzaju filologii), z tymi najbardziej ambitnymi filozoficznymi projektami już naprawdę od lat nie mają nic wspólnego. Jeśli chodzi o ostatnich kilkadziesiąt lat w teorii literatury, to można powiedzieć, że pomimo deklarowanych inspiracji filozofią doszło, moim zdaniem, do bardzo wyraźnego rozdzielenia fakultetów. Teoria literatury poszła drogą, którą Harold Bloom, moim zdaniem bardzo słusznie, nazywa socjologią literatury, a nie filozofią literatury. A socjologia literatury, czyli wszystkie współcześnie formy historycyzmu, analizy genderowej czy wszelkiego innego rodzaju społeczne

redukcje mają niestety to do siebie, i tu wracam do swojej pierwszej wypowiedzi, że choć wytwarzają bardzo przekonujący obraz produkcji literackiej, to nie są w stanie dostarczyć jednego prostego kryterium odróżnienia literatury dobrej od złej. Wiem, że to brzmi bardzo naiwnie, ale z mojego punktu widzenia, jako osoby niezainteresowanej po prostu pomnażaniem *industrium* teoretycznoliterackiego, czyli wytwarzaniem kolejnych doktoratów, habilitacji i tym podobnych dzieł w ramach filologii akademickiej, to kryterium pozostaje ważne. Chciałabym czytać rzeczy dotyczące literatury, które przez cały czas mnie pouczają lub wyostrzają mój smak.

Maciej Abramowski: Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na aporetyczność mówienia, którą państwo zauważyli. Przypomniał mi się moment, w którym Derrida pisze, że nie da się mówić inaczej niż esencjalnie. Gayatri Spivak, interpretując ten problem, zaznacza, iż nie może nas to powstrzymać od mówienia w ogóle, lecz powinniśmy wykorzystywać to esencjalne mówienie w sposób strategiczny. I tutaj nasuwa się pytanie: co powinno definiować tę strategię? Czy ona zawsze będzie idiosynkratyczna? Czy zawsze będzie płynęła z naszych własnych upodobań, z naszych celów i czy w takim razie nie powinno się traktować teorii jako dzieła sztuki, które w pewien sposób ma swoją funkcję poznawczą, lecz jego dyskurs ma zupełnie inną modalność niż tradycyjny dyskurs naukowy? Czy w tę stronę nie powinna zmierzać teoria literatury?

Danuta Ulicka: Jestem bardzo szczęśliwa, słysząc to, co pan mówi. Ale jednocześnie myślę, że państwo poczuli się uszczęśliwieni, bo mają w przyszłym semestrze egzamin z teorii literatury, a na liście lektur obowiązkowych jest Dilthey, Derrida, Heidegger. Dałiśmy się jednak zsocjologizować, po długich dyskusjach postanowiliśmy umieścić bodaj dwa czy trzy teksty związane z tematyką gender i postkolonializmu, będąc przy tym krytycznie nastawionymi do ich krótkotrwałości, okazjonalności, doraźności, mody.

Agata Bielik-Robson: W akademii anglosaskiej to jest 97 procent.

Danuta Ulicka: W akademii anglosaskiej tak, masz rację, i oby ta moda nie dotarła do nas za szybko, bo ona za szybko się zmienia. Korelacje teorii z innymi dyscyplinami czasem uznawany za patronujące, nadrzędne, zwierzchnie są historycznie zmienne. Nie ma co postulować, aby filozofia esencjalna, idealistyczna zawsze była wzorcem dla myślenia teoretycznoliterackiego. Mnie znacznie bardziej doskwiera, że cały czas mowa o tym, iż pożądana teoria, idealna, utopijna teoria powinna zajmować się źródłami mowy, rozdarciem, pęknięciem. Dlaczego teoria tak kompletnie rozeszła się z lingwistyką, z filozofią języka, z analityczną filozofią języka, ale i z prostym językoznawstwem? Jeśli język ma być w centrum i literatury, i teorii, to najbliższą powinna nam być właśnie czy to filozoficzna, czy to inaczej rozumiana refleksja nad językiem, a tutaj od pięćdziesięciu lat trwają dwa wrogie sobie obozy.

Agata Bielik-Robson: Ja, jako filozof, mogę powiedzieć tylko jedno: rzeczywiście nie da się rozmawiać z kolegami z filozofii analitycznej i tu pojednania nigdy nie będzie.

Danuta Ulicka: Nam, teoretykom, jakoś się udaje. A poza tym Kotarbiński pisał poezję! Jako filozof analityczny i tak twardy reista. Ingarden też pisał wiersze.

Aleksander Kozielski: Może wróćmy do teorii. Mówili państwo o dobrej teorii i dobrej literaturze, chcielibyśmy więc zapytać o kryteria oceny i sposób weryfikacji teorii humanistycznej. Czy istnieją takie kryteria, które nie byłyby kryteriami estetycznymi albo kryteriami użyteczności w jakiś sposób politycznej czy strategicznej? Czy w ogóle możemy mówić o czymś takim?

Danuta Ulicka: To jest piekielne pytanie. Ja nie będę wchodzić w żadne kryteria wartościowania, ale zastanawiałam się wielokrotnie nad mechanizmem sukcesu, tyleż w literaturze, co w teorii. Przychodzą mi do głowy dwie odpowiedzi. Jedna jest związana bardziej z teorią, druga z literaturą. Ta pierwsza mówi: szczęśliwy traf, niezależnie od tego, czy teoretyk ma ambasadorów, dobrych tłumaczy, odpowiednią strategię promocji w Polsce i za granicą. Za szczęśliwy traf dla teoretyka można uważać sytuację, gdy udaje mu się znaleźć wyrażenie, które jest tak pojemne i nośne, że zaczyna funkcjonować w obiegu i staje się terminem. Ten termin jest następnie nasycany coraz to nowymi treściami. Do moich ulubionych przykładów należy rosyjski chwyt udziwnienia. Drugi to Bachtinowska heteroglozja, a właściwie nie Bachtinowska, bo nie Bachtin wymyślił ten termin, ale został mu on przypisany. To są szczęśliwe trafy, które pozwoliły pewnej koncepcji w punkcie wyjścia teoretycznoliterackiej zagarnąć przestrzeń kulturoznawstwa, ale także innych nauk, takich jak ekonomia czy socjologia. Miernikiem sukcesu teorii jest funkcjonowanie idiosynkratycznego, autorskiego nazwania, metafory terminologicznej. Potem ten termin się anonimizuje i zagarnia coraz to większe obszary ludzkiego myślenia. Oto mój prywatny miernik wartości teorii bądź teoretyka. A w przypadku literatury, ale także teorii, choć, jak powiedziałam, bardziej literatury, takim wyznacznikiem będzie prekursorstwo. Bardzo trudno mierzalne, zwłaszcza w dobie intertekstualności, palimpsestów, tekstu, który jest zawsze zrobiony, wyprodukowany z innych tekstów. Ja wciąż naiwnie wierzę, że istnieje prekursorstwo i tylko mody tworzą kanony, w których już nie ma o nim mowy. Teksty nie tyle same się zjadają, ile same się produkują. To tyle.

Krzysztof Rutkowski: Może oddajmy już głos publiczności.

Głos z sali: Agata Bielik-Robson mówiła o socjologii literatury, która zagarnęła myśl teoretyczną. Myślę, że chodzi o doraźność polityczną, to znaczy próbę uczynienia z literatury służebnicy pewnych interesów społecznych. Brakuje natomiast próby znalezienia metapolitycznej koncepcji języka, której poszukiwali tacy twórcy literatury, jak Pereg czy Johnson. Współczesna teoria nie potrafi na to wyzwanie odpowiedzieć i spłaszcza literaturę w doraźnych kategoriach mody i politycznego zaangażowania. Jeszcze jedna rzecz. Fascynuje mnie to, że literatura co jakiś czas próbuje wykroczyć poza medium języka.

Agata Bielik-Robson: Tak, zgadzam się z tym, że brakuje nam we współczesnej teorii literatury odwagi, która by wyszła poza dosyć łatwe uprawianie socjologii literatury w stronę tego, co można by nazwać filozofią literatury. Nastąpił rozdział fakultetów. W pewnym momencie teoria literatury postanowiła odwrócić się od filozofii, co nie było oczywiste w latach sześćdziesiątych, kiedy rzeczywiście wszyscy teoretycy literatury zczytywali się w strukturalizmie. Osobiście strukturalizmu nie znoszę, ale mogę powiedzieć,

że był to złoty okres w teorii literatury, bo językoznawstwo, filozofia i teoria literatury weszły wtedy w bardzo silną interakcję. W tej chwili tej interakcji nie ma, a teoria literatury jest uprawiana absolutnie pod auspicjami socjologii literatury (zwłaszcza na uczelniach anglosaskich, ale za chwilę będzie się to działo wszędzie). Socjologia literatury nie musi być nawet bezpośrednio zaangażowana politycznie, może również udawać obiektywizm i bezstronność, co w pewnym sensie jest jeszcze gorsze, ponieważ wtedy używa kategorii, które narodziły się bezpośrednio w refleksji społeczno-politycznej, jak rasa, *ethnos*, *gender*, tak zwane *oppression studies*, czyli różnego rodzaju historie zniewolenia, a w tym oczywiście postkolonializm.

Danuta Ulicka: To się nazywa kulturowa teoria literatury.

Agata Bielik-Robson: Kulturowa teoria literatury również. Przejmuje te wszystkie terminy, po czym w sposób zupełnie mechaniczny, chyba tylko po to, aby wyrobić kolejną pracę roczną, kolejną magisterkę i kolejny doktorat, aplikuje to do dowolnej masy produkcji literackiej, nawet nie zadając sobie pytania, czy ta masa jest w ogóle warta czytania. Powiem teraz kompletny banał, ale cudownie byłoby, gdyby teoretycy literatury z powrotem polubili literaturę, bo teraz ewidentnie jej nie lubią. Naprawdę wolę czytać refleksje o literaturze współczesnych filozofów takich, jak Giorgio Agamben, Stanley Cavell, George Steiner, niż jakiegokolwiek teoretyka literatury, który pisał przez ostatnie kilkadziesiąt lat. Mam poczucie, że wśród teoretyków literatury nie ma żywej sympatii dla tak trudnego idiosynkratycznego przedmiotu, jakim jest właśnie dzieło literackie. Wyczynam raczej coś w rodzaju zniecierpliwienia, że przedmiot się wymyka.

Danuta Ulicka: Można postawić tezę przeciwną, że to raczej filozofowie redukują literaturę do ilustrowania swoich problemów filozoficznych tekstami literackimi, nie inaczej niż ci, których nazywasz socjologami literatury. Ja nazywam ich po prostu ideologami albo łagodniej – krytykami zaangażowanymi w dobre sprawy tego świata. Przede wszystkim redukują teksty literackie do wymiaru tematycznego, podczas gdy literatura to język, broniliśmy tego na początku. Są kompletnie nieczuli na retorykę, na stylistykę, na ukształtowanie językowe.

Agata Bielik-Robson: Kogo masz na myśli?

Danuta Ulicka: Stanley Cavell. Nie powiem tego o Derridzie, ale o Cavelli z całą pewnością. Powiem to także o Bloomie, który używa określonych matryc retorycznych, przykłada je do dowolnego tekstu i pokazuje, że w tym tekście ta matryca działa. To samo robi oczywiście Roman Ingarden, nie będę go bronić, zwłaszcza kiedy popisuje się analizowaniem *Stępów akermańskich*.

Łukasz Wróbel: On też pisał wiersze.

Danuta Ulicka: Właśnie o tym mówiliśmy, że też pisał wiersze, i nawet powieść, która zaczynała się od zdania „Zapadał zmierzch...” (*śmiech*). A swoje sonety ułożył w cykl, który zatytułował *Wędrowki mojej duszy*, ale wtedy wszyscy pisali sonety o duszy. Wróć do tematu – odrywanie problematyki od sposobu jej wypowiedzenia jest bolączką zarówno teorii literatury, jak i filozofii. Podałaś przykład złotych lat sześćdziesiątych, bez wątplenia złotych lat teorii... Ale to właśnie strukturaliści od zarania, od lat dwudziestych

poczynając, byli niechętni filozofowaniu, niechętni filozofii literatury właśnie z tego powodu, iż nie dostrzegła ona, że literatura to język.

Michał Mrugalski: Ja chciałbym wrócić do wątku życia i teorii literatury, aby przypomnieć ten prosty fakt, że jeżeli uznamy za początek nowoczesnej teorii literatury *Wskrzeszenie słowa* Szklowskiego, to wyniknie z tego, że teoria literatury powstała po to, by wskrzesić na nowo życie, język w literaturze, która jest w tym języku zrobiona. Wydaje mi się, że nawet najbardziej radykalne teorie, jak na przykład narratologia Genette'a, potrafią wnieść wiele życia do literatury. O ile więcej dzięki nim można zobaczyć w literaturze, ale i usłyszeć w różnych formach opowiadanych chociażby na ulicy. Życie staje się piękniejsze, życie staje się bardziej żywe właśnie dzięki tej okropnej, odczłowieczonej i nieżywej teorii literatury. To taki głos w obronie żywotności teorii.

Łukasz Wróbel: Ja się w sumie, Michale, z tobą zgadzam. Można powiedzieć, że to wariacja na temat Cassirera, który mówił, że „dobrze, że mamy symboliczność, formy kultury, język – nie potrzebujemy życia poza tym, ponieważ życie tętni tutaj, w symboliczności”. Podobna mi się też ta uwaga, że literatura nic nam nie jest dłużna i nie potrzebujemy jej zaprzęgać do jakichkolwiek porządków politycznych. Niemniej chciałbym przeczytać jeden fragment. Tak to poszło tutaj konfesyjnie: każdy mówi, co to jest teoria literatury, i pomyślałem, że ja też spróbuję powiedzieć, chociaż w ciągu każdego semestru mam ze trzy pomysły odpowiadające na pytanie, czego ja właściwie uczę. Cytat jest z *Ferdydurke* Gombrowicza, z rozdziału *Hulaigęba i nowe przytapanie*:

„Jakoż nazajutrz, po śniadaniu ciotka wzięła mnie na ustęp. Ranek był świeży, słoneczny, ziemia – wilgotna i czarna, kępy drzew, powłóczących modrym jesiennym listowiem, stały na wielkim dziedzińcu; pod drzewami oswojone kury grzebały i dziobały. Czas się zatrzymał w poranku i smugi złociste kładły się na podłodze fiumuaru. Psy swojskie leniwie wałęsały się z kąta w kąt. Swojskie gołębie gruchały. Ciotka była wzburzona od wewnątrz falą głębinową. – Moje dziecko – rzekła – wytłumacz mi, proszę cię... Franciszek mi mówił, podobno ten twój kolega zadaje się w kuchni ze służbą. Czy to może jaki agitator? – Teoretyk! – odparł Zygmunt. – Niech mama się nie przejmuj – teoretyk życiowy! Przyjechał na wieś z teoriami – miejski demokrat! Był jeszcze wesół i dosyć paniczkowy po wczorajszym. – Zygmusiu, to nie teoretyk, to praktyk! Podobno, Franciszek mówi, rękę Walkowi podawał! Na szczęście, stary lokaj nie powiedział wszystkiego, a wuja, o ile zdołałem zmiarkować, w ogóle nie powiadomiono. Udałem, że o niczym nie słyszałem, roześmiałem się (jak często życie zmusza nas do śmieszków), powiedziałem coś o lewicowej ideologii Miętusa i tak na razie rozeszło się po kościach. Z Miętusem naturalnie nikt o tym nie mówił”.

Podoba mi się spostrzeżenie, które Agata poczyniła na początku: teoria literatury poniekąd rzeczywiście regularnie afirmuje swoją własną niemożliwość i próbuje ją w jakiś sposób zgłębiać. Moim zdaniem teoria literatury zawsze jest nie na miejscu: gdy zanurzy się w praktykę interpretacji i analizy, gdy zejdzie na poziom jakiejś referencji do kontraktów społecznych – jest źle; kiedy zanurzy się w czysty formalizm – jest źle, zawsze nie na miejscu. Moim zdaniem teoria literatury to zarówno przestrzeń, jak i efekt zderzenia trzech porządków. Takiego zderzenia o wektorach odśrodkowych: semantycznego (i w tym sensie logicznego), gramatycznego i retorycznego. Rozkładając dominanty

pomiędzy tymi trzema komponentami w materii, którą jest język, próbuje ustalić właściwe relacje, funkcjonujące pomiędzy tymi trzema wielkościami, porządkami. W ten sposób, jeśli się nad tym zastanowimy, teoria literatury pozwala na jakąś praktykę, na przykład na praktykę komunikacji, którą umożliwia zestawienie semantyki z gramatyką; pozwala funkcjonować rozmaitym praktykom społecznym, choćby dlatego, że jest porządkiem dekonstrukcji różnych ideologii, mitologii. Jej motywację stanowi więc walka z rozmaitymi skonwencjonalizowanymi praktykami społecznymi, ale także w rozmaity sposób obnaża ona jedno – materialność języka i to, co się w środku tej domeny dzieje. Teoria literatury ma poniekąd naturę tożsamą z językiem, który funkcjonuje jako zestawienie trzech porządków, które wymieniłem wcześniej. W tym sensie, skonstruowana właściwie na zasadzie *trivium*, jest również produktem instytucjonalnym.

Karol Stefańczyk: Ja mam pytanie do pani Bielik-Robson. Wyraziła pani życzenie, żeby teoria literatury mówiła, jaka literatura jest dobra, a jaka – zła. Wydaje mi się, że miesza pani porządki, bo jaka jest w takim razie różnica między teorią literatury a krytyką literacką, która właśnie powinna mówić, co jest dobre, a co złe?

Agata Bielik-Robson: Moim zdaniem nie ma różnicy pomiędzy teorią literatury a krytyką literacką, nie da się ich uprawiać zupełnie niezależnie od siebie. Michał wspominał Genette’a, ten rodzaj teorii, o którym więcej mówiła Danuta, ja mniej – ma ona w sobie mnóstwo teorii retorycznej, językoznawstwa, jest wzorcowo wolna od wszelkich odniesień filozoficznych. Ja oczywiście nic do niej nie mam, bo uważam ją za absolutnie niezbędną. Musimy mieć po prostu wiedzę na temat języka, w którym literatura powstaje, i jakichś najprostszych strategii retorycznych, którymi posługują się pisarze. Wydaje mi się jednak, że mówiliśmy o teorii humanistycznej w ogóle, w dużo szerszym znaczeniu tego słowa, w którym literatura przez cały czas przeplata się z filozofią, w którym jest również faktem społecznym, którego nie sposób pominąć w analizie socjologicznej, a jeszcze na dodatek cały czas łączy się z normatywnymi kwestiami krytyki literackiej. Dlatego twierdziłam, że teoria literatury powinna wiązać się z krytyką literacką? Między innymi po to, żeby zapewnić związek, o którym wspominał Michał, żeby ten, kto pisze o literaturze, jednocześnie literaturę lubił. Ten autorytarny ton – uprawianie krytyki i mówienie, co jest dobre, a co złe, można przetłumaczyć na bardzo łagodną postawę, tu nie chodzi o to, żeby krytyk ferował wyroki, tylko by w jego podejściu do literatury widać było zarówno emocjonalność, jak i preferencyjność. Żeby jego sympatia do literatury wychodziła w tym na jaw – moim zdaniem nie ma w tym nic złego. Znowu powiem coś banalnego, ale może warto. Gdy uprawia się jakąkolwiek teorię humanistyczną, nie ma sensu bać się tak zwanego braku obiektywizmu. Wydaje mi się, że ten wzorec wychłodzenia, zdystansowania i obiektywności na zasadzie: „ja tu tylko przedstawiam pewne fakty, absolutnie trzymam się z dala od ich jakiegokolwiek oceny” jest zgubny i absolutnie do niczego nie prowadzi.

Łukasz Wróbel: Taki suwerenny podmiot umarł...

Agata Bielik-Robson: Żyje i ma się dobrze. Mimo że teoretycznie wydaje się już umarły i nie ma już najmniejszego sensu, to wciąż reprodukuje się w praktyce akademickiej.

Danuta Ulicka: Przeciwwstawianie teorii i krytyki jest wynalazkiem lat dziesiątych i dwudziestych XX wieku i chyba umarło śmiercią naturalną. Może pokutuje jeszcze w takich gimnazjalno-licealnych wykładach i uproszczonych kompendiach, jednak nie znaczy to, że wzywałabym do zrównywania obu działalności. One mają zupełnie inne funkcje i zupełnie inne cele, inne języki, bo ich adresat także się różni. Nie znaczy to również, że bronię jakiejś suchej i obiektywnej teorii, takiej zresztą raczej nie ma i nie było. Teoria w moim przekonaniu powinna się odznaczać tym, że jest profesjonalnym uprawianiem myślenia o literaturze, któremu stawia się większe wymagania i które nie wyważa otwartych drzwi. Przywoływałam Mayenową, przywołam ją raz jeszcze. Pokazała nam ona kiedyś książkę, odsunęła ją wręcz z obrzydzeniem i powiedziała: „Wiecie państwo, gdyby matematyk jeszcze raz przeprowadził dowód na twierdzenie Pitagorasa, to by się przecież skompromitował i spalił na całe życie w środowisku, a teoretykowi literatury wolno po raz n-ty przeprowadzić ten sam dowód udowadniający to samo, co już drzewiej zostało zrobione” – na profesjonalizm składa się między innymi świadomość historii własnej dyscypliny, a nie wyważanie po raz kolejny otwartych drzwi i udawanie, że świat zaczął się 15 lat temu. Kiedy patrzę na bibliografię najnowszych rozpraw teoretycznoliterackich, odnoszę niestety wrażenie, że świat zaczął się najdalej 30 lat temu. Ostatnio miałam świetny projekt interdyscyplinarny sytuujący teorię i literaturę w nietradycyjnych kontekstach, takich jak językoznawstwo, filozofia, sztuka, media, ale i ekonomia. Projekt znakomity, tylko czemu autor zaczął go od Pierre’a Bourdieu i zapomniał, że był de Saussure, który mówił o wymianie, i Claude Lévi-Strauss, dla którego wymiana była podstawą organizacji społeczeństwa ludzkiego? Tego właśnie teoretykowi, myślicielowi w ogóle, robić nie wolno.

Michał Kuziak: Moje pytanie jest skierowane do obecnych tu krytyków teorii, czyli Krzysztofa Rutkowskiego i Agaty Bielik-Robson. Czy wyobrażacie sobie państwo dyskusję o literaturze bez teorii? Spróbujmy pomyśleć taki eksperyment, że usuwamy ją z głowy i mówimy (zresztą, czy w ogóle mówimy...) o literaturze? Idąc za ciosem, spytałbym, czy można mówić o nowoczesnej literaturze i, szerzej, o dyskursie nowoczesnym bez teorii? Czy tu nie ma wzajemnego i koniecznego spłotu? Puentując, zastanawiam się, czy problem nie jest inny niż ten, który został tu postawiony jako twarda opozycja literatury i teorii. Czy nie jest raczej tak, że jak istnieje kiepska i dobra literatura, tak istnieje kiepska i dobra teoria, a problem polega na tym, żeby szukać kryteriów tej dobrej teorii i dobrej literatury? Być może są one takie jak te, które zostały wymienione, a więc negatywne jest osuwanie się w instytucję i jednej, i drugiej, a pożądanym jest zdrowy pierwiastek idiosynkrazji. Oczywiście „zdrowy” oznacza „proporcjonalny”, gdyż całkowite popadnięcie w idiosynkrazję staje się równoznaczne z wykluczeniem się z dyskursu.

Krzysztof Rutkowski: Ja bym na to spojrział trochę inaczej. To jest kwestia uczuć, to jest kwestia pewnych miłości – albo się kocha czytać, albo nie. I jeżeli kocha się czytać, czyta się z uczuciem, z miłością, i to jest zajęcie, które pochłania na całe życie. Pytanie brzmi: czy do tego potrzeba teorii literatury? Potrzebne jest myślenie, potrzebne jest wykształcenie, potrzebny jest namysł nad samym procesem lektury. Dotyczy to nie tyle

teorii, ile nastawienia do humanistyki. Powołam się tu na mojego ulubionego bohatera, Aby Warburga. Znalezienie właściwego stosunku do przedmiotu w refleksji nad sztuką stanowiło dla niego problem. W humanistyce nie można po prostu przyszpilić przedmiotu niczym motyla w gablocie – z motylami trzeba rozmawiać. Dla mnie spotkanie czytelnika z książką ma charakter bardziej zmysłowy niż umysłowy albo nie tylko umysłowy. To jest tajemnica spotkania, którego nie da się w żaden sposób wyteoretyzować do końca, ale też nie można się obejść bez kategorii rozumienia tego, co się robi. To znaczy, że każda namiętność wymaga racjonalizacji do pewnego stopnia, ale nigdy nie da się zrobić tego do końca. Kiedy Pascal Quignard opowiada, czym jest spotkanie z książką, pisze: jest ono spotkaniem kawałka milczenia między dłońmi, i to jest sprawa życiowa, a życia się nie da doteoretyzować do końca, ale też nie można żyć bez pewnych kategorii. Z teorią jest podobnie i myślę, że w ogóle zajmowanie się „rzeczą humanistyczną” jest bardziej kwestią temperamentu, ale też i rzetelnej wiedzy.

Łukasz Wróbel: A jak byście państwo nakreślili różnicę pomiędzy teorią literatury, która zajmuje się formami przedstawień, językowym ukształtowaniem, ale również ontologią języka, bardzo często ontologią form kulturowych, a filozofią, która zwłaszcza w XX wieku jest niezwykle świadoma tego wymiaru swojego pisania, od Nietzschego po Derridę? Czy jesteśmy w stanie wskazać taką różnicę, wyznaczyć granicę pomiędzy jednym i drugim? Przy założeniu, że wiemy, iż filozofia jest czysto pojęciowa, a teoria literatury chyba nie.

Agata Bielik-Robson: Dla mnie ta różnica jest coraz bardziej płynna, może jej w ogóle nie ma. W przypadku Derridy nie sposób jej określić, to jednocześnie filozofia i literatura, teoria literatury i teoria filozofii – cały czas na metapoziomiu. Weźmy na przykład *Glas*, dziwną kompozycję o Heglu, gdzie w jednej kolumnie Derrida prowadzi swoją zupełnie fantastyczną narrację o *Fenomenologii ducha*, rozpracowującą obraz ducha jako dymu, który ulatnia się z palonych szczątków świata. Jest to niesamowicie sugestywny obraz Heglowskiego ducha jako tworu sublimacji (mówiąc językiem alchemicznym), który po prostu wyłania się ze zgłiszczy świata i materii. W drugiej kolumnie natomiast równoległe biegnie drugi tekst, fragment opisujący „Uroczyście żałobne” Geneta, w którym niemalże namacalny jest zapach dymu palonych ognisk, światełek na cmentarzu. I co to jest? Z jednej strony tekst o Heglu fantastycznie oświetla tekst o Genecie, który to tekst też może być czytany jako traktat filozoficzny, choć jest najczystsza literatura. Z drugiej strony cytowane tam fragmenty *Fenomenologii ducha* są tak oświetlane przez Geneta, że widzi się, że to jest fantastyczna literatura, że Hegel po prostu był świetnym pisarzem, nie gorszym od Geneta. Niech ten przykład wystarczy za odpowiedź, moim zdaniem lepiej wskazać przykład takiego dzieła eksperymentalnego, ale w pewnym sensie pokazującego nowe możliwości tej zespolonej dziedziny humanistycznej, którą jest dobra teoria literatury tworząca fascynujące amalgamaty, dające nadzieję na przyszłość bardzo udanej spekulacji. Ja już właściwie od kilku lat nie używam pojęcia „filozofia”, żeby odróżnić się od filozofii akademickiej, do której mam coraz większy dystans. Używam po prostu terminu „spekulacja” jako czegoś, co wydaje mi się o wiele bardziej obiecujące

i ciekawsze we współczesnej humanistyce. Mamy różnego rodzaju wspaniałe talenty spekulatywne, jak Derrida albo Bloom, które po prostu przelatują jak meteory przez różne dziedziny i są w pewnym sensie niewyłapywalne przez siatki akademickie.

Danuta Ulicka: Mnie się wydaje, że w pytaniu Łukasza niepotrzebnie stopiły się dwa problemy: instytucjonalny i historyczny. To, że fakultety podzieliły się nam instytucjonalnie, wynika z naśladowania pewnego modelu uniwersytetu, którego ofiarami jesteśmy zresztą nie tylko my. Nie bardzo wiemy, co powinniśmy dzisiaj robić, bo mamy granicę Krakowskiego Przedmieścia, która nie dotyczy spekulantów, takich jak Derrida, Heidegger, Dilthey i wielu innych. Czytamy ich po obu stronach Krakowskiego Przedmieścia, na polonistyce i filozofii. To najlepszy dowód na to, że rozejście instytucjonalne nie uniemożliwiło nam tworzenia amalgamatów, ale historia jest jeszcze bardziej przekonującym dowodem. Literatura i filozofia wyrosły jako sztuka komentarza i przekładu równocześnie. Pierwsze teksty uchodzące w tradycji instytucjonalnej za filozoficzne to komentarze do hymnów orfickich. I literatura, i filozofia, które wyrastają z tej sztuki, mają za zadanie komentować coś już niezrozumiałego, nieczytelnego, napisanego w innym języku, który bez dopowiedzenia jest niezrozumiały. Za prototyp powieści uznawany jest apokryf do opowieści o Józefie i Asseneth, w ten sam sposób traktuje się również początek sztuki dramatycznej. Dramat w sensie wymiany replik, najpierw z dwoma aktorami, to komentarz do niezrozumiałego już widowiska rytualnego. Zatem jeżeli w prapoczątkach (na ile są one odtwarzalne) punkt wyjścia był taki sam, to jest nadzieja, że taki sam pozostanie, niezależnie od tego, jak bardzo instytucje lub ulice by nas porozgraniczały.



Sylwia Gibaszek